

Maurice Leblanc.

## TAJEMNICZE DOKUMENTY.

14

(Ciąg dalszy).

Było już wpół do ósmej, gdy dojechali do Zaccisa. Lenormand, nie troszcząc się o swą towarzyszkę, zaczął rozpytywać portyera.

— Czy służąca pani Kesselbachowej, Gertruda, wróciła?

— Ależ Gertruda chyba wcale nie wychodziła, proszę pana. Ja jej nie widziałem.

— A jednak ktoś wrócił.

— O nie, proszę pana, nie otwierałem drzwi nikomu, od... od godziny szóstej.

— A czy niema innego wyjścia, oprócz tych drzwi?

— Niema żadnego. Mur otacza całą posiadłość; wysoki mur.

— Pani Kesselbach — rzekł Lenormand — pójdziemy do pawilonu pani.

Poszli wraz z Hartogiem. Pani Kesselbach, nie mając klucza, zadzwoniła. Druga z sióstr, Zuzanna, ukazała się we drzwiach.

— Czy Gertruda w domu? — zapytała pani Kesselbach.

— Tak, proszę pani, jest w swoim pokoju.

— A widzi pani! — zawołała tryumfująco biedna kobieta.

— Niech jej panienka każe przyjść — rozkazał szef bezpieczeństwa.

Po chwili zeszła Gertruda, uprzejma i wdzięczna w swoim białym fartuszu z haftami. Lenormand obejrzał się na Hartoga.

— To ona! — potwierdził tamten szeptem.

— Bardzo mi przykro, proszę pani — zwrócił się szef do Dolores — ale w tem wszystkim są pewne zbiegi okoliczności, które mi nakazują działać z pewnością... szorstkością. Panienko, proszę mnie zaprowadzić do swego pokoju. Pójdź, Hartog.

Pokój, położony na pierwszym piętrze, oddzielony był ubieralnią od pokoju pani Kesselbach. Wygodny, wesoły, urządzone ze smakiem, nie zdradzał w tej chwili żadnego nieładu. Gertruda uśmiechnęła się.

— Ja nie wiem, proszę pana, czego sobie pan właściwie odemnie życzy, ale widzę, że mnie o coś posadzają... Czyby mi pan nie mógł powiedzieć...

Przerwała. Odezwał się dzwonek telefonu, a panu Lenormand wydało się, że widzi na twarzy Gertrudy pewne zmieszanie i jakiś niepokój.

— Nie odpowiada panienka na wezwanie?

— Owszem, zaraz, zaraz...

— Nie — rzekł, ujmując słuchawkę — lepiej będzie, jeżeli ja sam opowiem.

Przyłożył słuchawkę do ucha, szepcząc:

— Halo! Halo!

I posłyszał odpowiedź:

„Czy to ty, Gertrudo?“

— Tak!

„Czy wszystko dobrze się odbyło? Czy...“

Nie dokończono zdania. Czekał niespokojnie, ale milczenie trwało, zaczął z kolei dzwonić. Dzwonił bez przestanku dwie minuty, trzy minuty, dzwonił z rosnącą wściekłością. Wszystko napróżno. Z biura w Garches nie przychodziła odpowiedź.

Spojrzał na Gertrudę. Była spokojna i znowu się uśmiechała.

— Aparat nie funkcjonuje! — rzekła.

— Jak się to dzieje, że telefon jest w tym pokoju?

— Pani nie cierpi hałasu, więc ja mam obowiązek prowadzić rozmowy.

Pan Lenormand przejrzał kilka papierów w biurku, przejrzał suknie w szafie i bieliznę w komodzie. Gertruda zachowywała się przy tych poszukiwaniach tak naturalnie, że spokojem osoby tak pewnej swej niewinności, że pan Lenormand mimo swoich uprzedzeń, mimo wewnętrznego przeświadczenia i dwuznacznych słów przy telefonie, niespokojny był i nie zdecydowany. Szepnął cichutko do Hartoga:

— Czy ty zupełnie pewien jesteś, że to ona?

— Szefie, czy widzi pan tam, na kominku, tę brązową rękawiczkę nicianą, pogniecioną?

— Widzę. Coż stąd?

— To ta rękawiczka, którą ona podniosła z ziemi obok samochodu, nawprost pałacu sprawiedliwości.

## II.

Choć twierdzenie Hartoga było stanowcze, nie dawało jednak panu Lenormand wystarczającego

dowodu, na mocy którego należałoby mu uczynić jakiś krok nieodwołalny. Postanowił czekać jeszcze. Na dole zastał panią Kesselbach pod opieką Zuzanny; wzięwszy ją na bok, rzekł do niej:

— Błagam panią, niech pani mojej rady usłucha. Niech pani opuści swój pawilon, choćby na tę jedną noc i niech się pani przeniesie do głównego domu!

— Nie panie, ja się stąd nie ruszę. Wyglądałoby to, jak gdybym posadzała osobę, do której jestem przywiązana i która jest mi wiernie oddana. Tego nie zrobię za nic.

— Moim obowiązkiem jest przestrzedz panią, że tym uporem ściągają pani na siebie niebezpieczeństwo.

Wzruszyła ramionami znużona i obojętna.

— Więc niechże pani przynajmniej pozwoli, by jeden z moich ludzi spędził tu noc, w przedpołudniu pani.

— Jeżeli panu na tem zależy...

Lenormand wydał surowe instrukcje Hartogowi:

— Zamknij drzwi za mną. Czuwaj z rewolwerem w ręku. Nie pozwól nikomu wyjść ani nikomu wejść.

Przed odjazdem obszedł ogród i upewnił się, iż niema innego wyjścia, jak tylko przez bramę. Tę bramę otwierał portyer na odgłos dzwonka. Chyba więc własnym kluczem posłużyła się Gertruda?... Rozmyślał nad tem, gdy bicykl ukazał się w cieniu i zeskoczył z niego Gourel.

— Szefie, automobil ich wyjechał z Paryża bramą Maillot. Ale był w nim już tylko człowiek w miękkim kapeluszu i panna bez kapelusza. Jej rysopis, który mi podano, zgadza się zupełnie z opisem Hartoga...

— To dobrze — rzekł pan Lenormand. To znaczy, że Ribeira i Steinweg zostali w obrębie Paryża. Pójdź Gourel, pójdziemy do biura pocztowego w Garches.

— Będzie temu z godzinę — rzekł Lenormand do urzędnika — zostałem wezwany z pawilonu Casanowas, ale połączenie zostało przerwane, zapewne przez pomyłkę.

— Przez pomyłkę? O nie panie! Gdy wobec tego, że drugi abonent się użalał, robiłem, co mogłem, by przywołać nr. 54, ale 54 nie odpowiedział. Być może, że coś popsuto przy aparacie, może który drut jest przecięty...

Lenormand zadrżał.

— O szelma! to ona go pewnie za moimi plecami przecięła.

W towarzystwie Gourel'a p. Lenormand poszedł drogą do willi, zamieszkałej przez panią Ernemont i Genowefę. Babka zawołała Genowefę. Lenormand zwrócił się do niej:

— Czy wolno mi bez niedyskrecji zapytać panią, co pani robiła dzisiaj po naszym spotkaniu się u nauczyciela, pana Landat?

— Niema w tem żadnej niedyskrecji, proszę pana. Poszłam odwiedzić panią Kesselbach.

— Gertruda, panna służąca, czy była tam wtedy?

— Tak, ubierała swoją panią, która miała wyjechać.

— I wobec Gertrudy opowiedziała pani całą historię z Ribeirą?

— No tak...

— I o anonsie w „Grand Journalu“ mówiła pani, o Steinwegu i mojem wyznaczonem z nim spotkaniu?

— Najdokładniej pamiętam.

Lenormand przeżegnał się.

— Idź naprzód, Gourel — rzekł, zapalając cygaro — idź do domu Piotra Leduc w Saint-Cloud. Dwaj bracia Dondeville powinni tam być. Ja was dogonię. Spędzimy tam noc.

Przyszedł w godzinę później i w pokoju, gdzie wszyscy czterej zgromadzeni byli razem, snuł dalej swoje rozmyślenia.

— A więc to jasne. Gertruda jest współniczką dwóch bandytów, którzy kręcą się około sprawy Kesselbacha, czy to dla przejęcia owego planu, czy dla zdobycia milionów wdowy. Zapewne i druga siostra jest spółniczką spisku. Gertruda, wiedząc o tem, że mam się widzieć z Steinwegiem, podczas nieobecności pani swej leci do Paryża, uprzedza Ribeirę i tego drugiego w miękkim kapeluszu, zaciągając ich do pałacu sprawiedliwości i tam Ribeira porzuca na swój rachunek imci Steinwega. Jak wraca, tego nie wiem, dość, że pokazuje mi się, gdy wracam z panią Kesselbach i podczas gdy ja przez telefon mam wydostać od Ribeiry słowo zagadki, ona z zimną krwią za moimi plecami przecina drut telefonu. Daj mi ognia Gourel.

Zapałił zgasłe cygaro i wnet je odrzucił, zapomniawszy palić.

— Wszystko to dowodzi: 1) jak wielką wagę morderca przywiązywał do Steinwega i jak się obawiał jego rewelacji; 2) że prawdziwy spisek otacza osobę pani Kesselbach; 3) że nie mam czasu do stracenia, gdyż spisek dojrzewa. A teraz śpijmy — dodał — bo ciężkie dni mam przed sobą.

Położyli się wszyscy. Nie minęła jednak godzina, gdy ręka szefa pobudziła ich wszystkich.

— Mie mam spokoju. Żle zrobiłem, zostawiając Hartoga samego na obronę pani Kesselbach. Gertruda musi się czuć zgubioną. Zrobi wszystko, co można, by uprzedzić swoich współników, i nie wiadomo, czego się obawiać należy. Wstawajcie!

Poszli wszyscy czterej bocznymi drogami w oświetleniu jasnego księżyca. Spotkali dwa wózki przekupniów jarzyn, a dalej nieco trzech ludzi, idących ze śpiewami, których pan Lenormand krótko przepętał i puścił. A dalej już spokój był i cisza pięknej, jasnej nocy, niezakłóconej żadnym odgłosem. I oto nagle w chwili, gdy wychodzili na drogę do Garches, spostrzedli dwóch cyklistów, pędzących bez latarek.

— Stój! — zawołał Lenormand.

Dwaj współnicy przechylił się naprzód gwałtownym wysiłkiem i sylwetki ich zarysowały się wyraźnie; mężczyzna to był i kobieta. Kobieta, słabsza, pozostała nieco w tyle. Towarzysz jej zwinął, chwycił ją za ramię i pociągnął. Inspektorowie puścili się pędem i już byli tylko na odległość jakich dziesięciu kroków, gdy tamci ruszyli dalej.

— Stać, bo będę strzelał! — powtórzył Lenormand.

Odstęp się zwiększał. Rozległ się wystrzał; jednakże Lenormand tym razem strzelił tylko na wiatr. Odległość zwiększała się jeszcze, a ponieważ droga teraz zjeżdżała w dół, cykliści zdawali się ginać z oczu...

— Naprzód, dzieci, naprzód! — wołał pan Lenormand, sam wyprzedzając swoich inspektorów — naprzód! złapiemy ich w drodze pod górę.

W istocie, zaczął się podjazd dość stromy i zaraz też ścigający zyskali na odległości. Pięćdziesiąt kroków... już tylko trzydzieści. Wzniesienie jednak było niewielkie, a od szczytu znowu zaczynał się spadek. Czy zdążą na szczyt? Ot już się ich dogania... już tylko dziesięć kroków najwyżej... Chwilę wahały się szale — i oto zniknęli za grzbietem pagórka. Gdy ich znów Lenormand zobaczył, odyskali całą odległość poprzednią. Na traf wystrzelił raz, drugi i trzeci, choć wiedział, że są zbyt daleko. Wystrzały jednak nie były daremnie, gdyż kobieta, widocznie wystraszona niemi, lekając się pościgu kul, zjechała w bok, oddalając się od towarzysza. Chcąc odzyskać tor właściwy, zakreśliła w prawo, potem w lewo i nagle upadła na przydrożną szkarę. Zagrzmiwały zwycięskie okrzyki. Ta już przynajmniej nie ujdzie. Ale teraz stało się coś dziwnego. Mężczyzna zeskoczył z roweru, przeszedł całą szerokość drogi, rzucił się na swą towarzyszkę, w chwili, gdy ta usiłowała powstać i przewrócił ją. Rozległ się krzyk straszny, krzyk morderczego zwierzęcia... Mężczyzna powstał i skoczył na swój rower. Stało się to wszystko z błyskawiczną szybkością. Z bliska zupełnie pan Lenormand wystrzelił po raz czwarty. Napróżno... ręka mu drgnęła. Mężczyzna oddalił się — szczupłą jego sylwetkę zniknęła. Tuż przy ziemi stychać było ciche jęki i chrapliwy oddech dogorywania...

— Podaj mi swoją latarkę, Gourel... i wyświećcie, bracia Dondeville!

Lenormand nachylił się. Tak, to była Gertruda. Krew ściekała po falbanach jej stanika...

— Och! — rzekł — rana... zawsze ta rana na szyi...

Oddychała jeszcze. Ogromnie delikatnie uniósł jej głowę, podparł ją ramieniem i pytał:

— Czy słyszysz mnie? Czy możesz mi odpowiedzieć?

Drgnęła. Ostatkiem sił chciała przemówić, przeżyła się w pragnieniu zemsty na ohydnych współniku, który ją sobie z drogi usunął. Wargi jej wydawały jakieś sylaby, jakieś niezrozumiałe dźwięki... Nachylony nad nią, powtarzał:

— Proszę mówić... trzeba koniecznie powiedzieć...

Krwawa plama wystąpiła w kącikach ust. Parę drgawek wstrząsnęło ciałem. Nastąpiła nieruchomość. Twarz dziewczyny powlokła się śmiertelną bladeścią, uspokoiła się i złagodniała. Usta jednak bezwiednie poruszały się dalej, głos podniósł się nieco i parę sylab postyszeć było można wyraźniej: